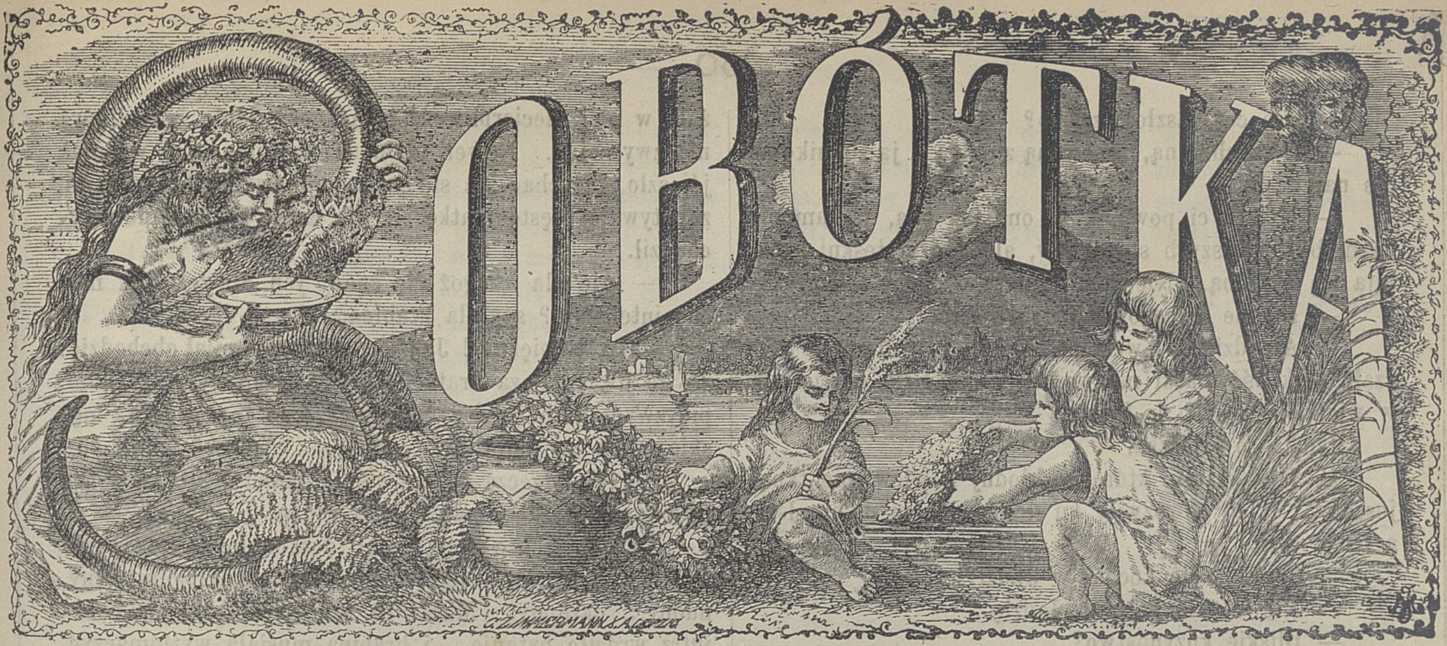


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 31. Poznań, dnia 31 Lipca 1869. Rok. I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Cóż więcéj? spytał Młyński.

— A! no! nowina dzisiejsza musi ci być wiadomą.

— Nie wychodziłem z domu i nie widziałem nikogo, prócz kandydatów do stanu redaktorskiego...

— Ale bo nowina i ciebie się tyczé, choć nie bezpośrednio.

— Mnie?

— Ciebie, bo Leny... Lenie Dyrektor na naleganie wuja i jego przyjaciół dał dymisyą... z teatru!

Sławek się zarumienił i drgnął.

— Wiedziałem, że to ciebie obejdzie, rzekł Samiel — ale wdałaś się w walkę z tymi świętoszkami, będą cię kłuć i prześladować na wsze strony. Któżby się był spodziewał, że w czcigodnym Sopoćce znajdą jéj wujaszka...? Ale bo też zbytecznie się z nią afiszowałeś.

— Wiesz dla czego? odparł Młyński, dla tego właśnie, że nic na sumieniu nie mam. Jestem dla niej bratem, opiekunem.

— Na tę funkcyą niemasz lat...

— Niech ludzie plotą, co chcą...

— Jakkolwiek bądź! za granicę uchodzi wszystko, ale w naszém małém miasteczku, gdzie każdy krok widny jak na dłoni, wśród kraju tak surowego jak nasz!!

— Surowy! bardzo dobrze, odparł Sławek, ale niechże będzie sprawiedliwy, do kaduka... Dla czegoż posądzać ma zaraz o złe, gdzie go n ema.

— Pozory na świecie wszystkiém! —

— Alež hrabia Alfred jest jawnym protektorem pani B... a nic mu nikt nie mówi.

— Naprzód hrabia, to należy do atrybucyi stanu, powtóre zachowuje pewne dekorum, po trzecie nie zabiera się do wydawania dziennika, po czwarte szpakowacieje... Wszystko to są łagodzące okoliczności. Ale cóż się stanie z tą piękną Leną?

— Nie wiem, pomyślimy o tém, rzekł zamyślony Sławek.

— To są dopiero początki twojéj drogi krzyżowéj, mówił Samiel... przyznam ci się, że ani tobie, ani żadnemu z ludzi publicznych nie zazdroszczę. My pokorne cielęta... cicho sobie robimy, co chcemy... wy stoicie na świeczniku, wymagają od was więcéj.

— Może mają szłuszność, krótko odparł Sławek, są łaski stanu, ale są i starsze brzemiona.

Samiel spojrzał na niego, ale nie śmiał badać więcéj i rozmowę odwrócił.

— Nie będziesz u hrabinéj? spytał.

— Nie mam czasu.

— Czyś tylko zemną szczery? dodał Samiel... ja się czegoś domyślam?

— Domyśl się, powiedzieć nie chcę lub nie mogę.

— Czy Wartska jest tak bardzo rygorystką? znasz ją dawno, ze wsi, naucz mnie?

— Wartska może ma słuszność także — krótko odparł Sławek. Ja sam czuję, że w fałszywém jestem położeniu. Była dla mnie zimną, uznałem właściwém się usnąć. Może też kto z dobrych przyjaciół powiedział jéj co o Lenie.

Samiel zaczerwienił się, buchnął dymem. Jużciż mnie nie posądzasz?

— Nikogo!!

— Ale coś zaszło? zaszło?

— Była chłodną, żenowaną ze mną... ja się nikomu nie narzucam...

— No, to ci powiem, że ona jak ona, ja tam nie znam bliżéj waszych stósunków, ale Jadzia tęskni i rozbija się za tobą. Nieustannie pyta o ciebie...

— Biedne dziecko! ma dobre serce!

— Ale dziecko! westchnął Samiel — dla mnie dojrzała piękność matki ma więcéj uroku... I nie jestem w wielkich łaskach u Jadzi...

Jadzia to laleczka.

— To kwiatek, którego chłodny powiew nie tknął jeszcze... tylko co rozwity ku słońcu... rosa na nim lśni, a listki drżą...

— Czy byś się kochał w Jadzi?

— Nie — ale kocham Jadzię...

— Bliskie kuzynostwo?

— Dosyć... znamy się od dzieci.

— Będziesz tam dzisiaj pewnie? dodał Sławek, pokłoń się Jadzi odemnie.

— Po cichu!

— A! uchowaj Boże! jak możesz najgłośniéj.

— Więc i mamie.

— Jak zechcesz... wszakże nie koniecznie.

Poczęli się śmiać... Samiel, któremu o to szło, ażeby go widziano z Młyńskim, nawrócił go na przechadzkę...

Sławek przyjął to, ale postanowił sobie z niéj pójść do Leny i obmyśleć, co ma począć... Żal mu było biednéj, czuł że nie za swoją, ale po części za jego pokutowała winę, wiedział jak ją zaboli oddalenie od teatru, który lubiła, i w nim widziała przyszłość. Potrzeba było znaleść jéj zajęcie, chleb... opiekę... i odepchnąć prześladowanie dalsze Sopoćki, które się zdawało jéj zagrażać... W tych myślach wyruszyli razem z domu, a Samiel pociągnął go najgłówniejszemi ulicami... przypadkiem czy umyślnie, któż zgadnie? Tacy Samiele, wszakże rzadko co czynią bez rachuby pewnéj i bez celu— Sławek nie wiedział dobrze, dokąd idzie.

W sercu człowieka o każdéj życia jego dobie — co innego mieszka, inne uczucie porusza nim, a gdybyśmy zajrzeć mogli do téj puszki Pandory!! Jak się tam z niczego rodzi to, co człowiekiem całym ma owładnąć... jak rośnie pod wpływem często przeciwnych na na pozór wypadków, jak się z miłości nienawiść wykluwa, jak namiętność stygnie, gaśnie, spopiela się i rozwiewia... Te dzieje serca rzadko całkowicie zna świat po wulkanicznych tylko na zewnątrz wybuchach, krótkich i zamykających dramat. Patrząc na rozkwitłą swą córkę, hr. Wartska badała nieraz jéj rumieńce, uśmiechy, ożywione ruchy i pochmurne zamyślenia, pytając sama siebie, coby one znaczyły, a choć własne doświadczenie miała za tłómacza, a córka jéj młodość przypominała, tak się zatarły! tak były daleko, tak była ona dziś inną, że córka stawała się zagadką.

Przecież Jadzia nie umiała się ukrywać z niczém i nie miała do tego powodów, ale jest w duszy wstyd dziewczęcy, który nie dozwala odsłonić nawet najniewinniejszych tajemnic... Człowiek czasem niemi bawi się, jak skąpiec zamkniętemi dukatami. Jadzia od kilku zwłaszcza dni mocno niepokoiła hrabinę, matka zauważała w niéj niecierpliwość jakąś, ożywienie, eksaltacyą nie zwyczajną. Nawet ulubione czytanie nie w smak jéj szło, przechadzała się po salonie, wyglądała oknami, zapytywała często matkę — dla czego Sławek nie przychodził.

— Ale dla czegoż cię znów ten Sławek tak mocno interesuje? spytała hrabina.

— A to pięknie! Jakżeby mnie nie miał obchodzić. Ja go uważam za brata... ja go jak brata kocham, przyzwyczaiłam się i z całego naszego towarzystwa męskiego, on mi najmilszy.

— Nie przeczę że może mieć zalety, ale znów tak nadzwyczajnéj doskonałości nie widzę.

— A! niechże Bóg broni doskonałości, przerwała Jadzia, to bym go cierpieć nie mogła, byłby sztywny, nudny... okropny... Matka na tém skończyła, ale nazajutrz wróciło pytanie... i hrabina musiała wytłómaczyć.

— Już o Sławku nie mów i nie pytaj o niego... zrobił pewną niedorzeczność i musiałam się z nim pokłócić...

Jadwiga poskoczyła ku matce łamiąc ręce — to nie może być! on! zrobić niedorzeczność! To są plotki! Niech go mama przeprosi...

— Ja! jego... przepraszać! nigdy w świecie.

— A więc nie będzie nawet bywał...

— Sądzę... do pewnego czasu...

Jadzia spojrzała na matkę, zrobiła posępną minkę i odeszła ale zamyślona i spoważniała. Matka była nie spokojna. Miałażby się na biedę pokochać w nim! A! to szczęście, żem go odprawiła... to szczęście — żem go odprawiła... to szczęście — ale nie może być, ażeby Jadzia! a! nie! to dziecko jeszcze...

I na tém się skończyło.

Dzień był piękny, panie obie pieszo wyszły na przechadzkę, wypadek... chciał, żeby Samiel ze Sławkiem zagadani o czemś ześli się z nimi na trotuarze. Młyński byłby się cofnął, gdyby je wcześniéj postrzegł, ale zobaczywszy panie, był już o krok tylko od nich. Jadzia, która szła z matką obok i znalazła się naprzeciw Młyńskiego, zarumieniła się, zapomniała i w sposób nader kompromitujący pochwyciła kuzynka za rękę, drugą z dziecinną poufałością, kładąc mu na ramieniu.

— A! dobrze, żem winowajcę złapała! zawołała uradowana, pomięszana, niepamiętna na burę, którą sobie u matki mogła zarobić. — Zaraz mi pan pocałuj mamę w rękę, przeproś ją i zrób zgodę!!

Hrabina spojrzała, mrucząc na Jadzię, ale to nic nie pomogło, dziewczę tak było ucieszone, przejęte, tak mocno sobie postanowiło pośredniczyć pomiędzy kuzynem a mamą, że na nic już nie zważało. Sławek uśmiechał się, patrząc na hrabinę, pani Wartska ruszyła ramionami, a Samiel nie chcąc być świadkiem familijnych interesów ukłonił się i wysunął natychmiast.

— Jadzia nie wiedzieć co plecie! zawołała pani hrabina.

— Żadnego sporu między nami nie było dodał Sławek...

— O! bałamucisz! przerwała Jadzia, — a dla czegóż bywałeś wprzódy codziennie, a teraz całkiem u nas bywać przestałeś. Byłeś domowym, stałeś się więcéj niż obcym, bo jak nieznajomym... Otóż mnie bez ciebie

nudno, tęsknię za tobą i z tém się nie taję... proszę cię o zgodę! No! zgoda między parami chrześcijańskiemi! dodała, spoglądając na matkę, która stała zakłopotana i chmurna.

Trudno się było pogniewać na to miluchne dziecko. Hrabina tylko nie wiedziała jak to zakończyć; Sławek ukłoniwszy się z przymuszonym uśmiechem miał odchodzić, gdy na nic nie zważając dziewczę, nawet na to, że mnóstwo osób zdala się im przyglądało, z naiwnością klasztornéj pensyonarki, która nic nie widzi zdrożnego w poczciwém choć żywiéj objawioném uczuciu odciągnęła o krok Sławka...

Twarzyczka jéj uśmiechnięta, oczki błyszczące, ruchy wdzięczne, prostota i szczerość, z jaką kuzynka wśród ulicy pochwyciła i puścić go już nie chciała... napełniły mamę trwogą, a Sławka nie małym kłopotem. Ale Jadzia była oparta jak dzieciaczek...

Na trotuarach stawano, przypatrując się téj ślicznéj parze, domyślając jakiéjś sceny nieodgadniętéj.

— Sławku mój — zawołała Jadzia - byliśmy jak brat i siostra... było nam z sobą dobrze... pocóżeś mamę obraził, mnie zasmucił... Zaraz mi przeproś i popraw się.

— Jadziu droga, przerwał Młyński, pozory były przeciwko mnie. Mama nic a nic nie winna, ale i ja nic nie jestem winien... Wszystko się to rozjaśni, porozplątuje, wróci do dawnego porządku.

— Tak! ale prędko! prędko! mój Sławku, — bo ja bez ciebie się nudzę, nie mam przyjaciółki, ty jesteś moją przyjaciółką! Ja proszę, ja każę...

I ścisnąwszy go kilkakroć za rękę z uśmiechem, z błaganiem, pobiegła do oczekującéj niespokojnie matki, która ją wołała po kilka kroć, niecierpliwiła się, rumieniła i rada była co prędzéj uciec od natrętnych oczu. Jadzia wesoła, szczęśliwa, nie posądzając siebie o to, ażeby przeciwko formom światowym zgrzeszyć miała, śmiała się, była rozbawiona, roztrzepana i odchodząc już, powtarzała ciągle.

— Sławek przyjdzie, wytłómaczy się, przeprosi i wszystko się skończy...

Gdy się to działo, Samiel uchodził powoli za bliski klomb drzew, — nagle stanął zdziwiony wielce, bo za drzewami, z oczyma gorączkowo wlepionemi w tę żywo rozprawiającą młodą parę, znalazł Lenę... Od początku stała tu jak wkuta, chwytając wyrazy, łapiąc ruchy, usiłując odgadnąć jakie uczucie biło w dwojgu tych piersi. Była smutna, pogrążona, jakby rażona od pioruna... Ten mały dramat domowy, wydawał się jéj miłosną sceną... pożerała oczyma Jadzię, Sławka i równie jak Jadzia nie zważała wcale, że na nię także patrzyli ludzie... Samiel postrzegł ją i przybliżył się... ona zobaczyła go dopiero, gdy stanął przed nią i jakby strwożona, cofnęła się, ale z Jadzi niespuszczając z oka... Osłupiała patrzyła ciągle, łzy kręciły się jéj pod powiekami, na wargach czuła gorycz, w ustach żar...

— Kto to jest? zapytała Samiela, mów mi pan kto to?

— To panna Jadwiga hr. Wartska... jakaś daleka kuzynka jego...

— Kuzynka... tak! mówiła pół głosem Lena — wychowali się razem... kochać muszą od dzieciństwa...

— I ja się tego domyślam, rzekł Samiel... bo przez kilka dni... gdy Sławek bywać tam poprzestał... Jadzia chodziła jak zwarzona, uspokoić się nie mogąc.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szkoła Ukraińska i Bogdan Zaleski.

Szkic literacki

przez **J. K.**

(Dokończenie.)

Po inwokacyi cudownéj swéj ukraińskiéj muzy:

Piastuj dziecię me rusalko
Mlekiem dum i mleczem kwiecia,
Pój do lotu mdłe to ciałko
Pięknéj sławy méj stulecia,
Podaj do snu na obrazki
Barwę złotą i błękitną.
Tęczą w okrąg niech rozkwitną
Wszystkie ludu mego kazki.

po téj czarującéj powabem i prostotą inwokacyi rozpoczyna poeta z nami wędrówkę nie po ziemi i ludach, ale po erach, wiekach i epokach. Odsłania nam ludzkość w kolebce, śledzi pierwsze jéj kroki dziecięce i późniejsze zapasy młodzieńczego jéj ducha — ukazuje nam ją we wszystkich rozwojach myśli dziejowéj, na szczycie siły i potęgi, w kałuży upadku i zbrodni, w ogniu odrodzenia się nowego i w blasku chrześciańskiéj idei. Przed oczyma duszy naszéj przesuwają się daléj: to dzikich światoburców Gotów i Wandalów zastępy, to święte wyprawy rycerzy krzyżowych, to nareszcie tryumfy muzułmańskiego półksiężyca. Gdzież znaleść tła na większy obraz? To dzieje całéj ludzkości, dzieje obejmujące kilkadziesiąt wieków — i to na niespełna pięćdziesięciu stronnicach. Zaiste, ten brak proporcyi, ta olbrzymiość materyi w obec tak skąpych rozmiarów wykonania w żadnym dziele więcéj nie razi jak właśnie tu, bo tu w większych rozmiarach tyle piękności poetycznych, tyle skarbów fantazyi byłby jeszcze poeta miał sposobność rozwinąć — a posiadając taki jak on skarbiec tych klejnotów, nie godzi się skąpić. Czy się wieszcz przeląkł ogromu swego zadania, czy Duch od stepu ma być tylko szkicem wielkiéj lirycznéj epopei, którą poeta kiedyś jeszcze narodom w darze przyniesie — nie wiadomo. Bogdan na tytule położył wyrazy: „Przygrawka do nowéj poezyi“ — po takiéj wspaniałéj przygrawce jakiegoż czekać poematu?

Przez całą tę dziejową pielgrzymkę, którą niezmordowany duch autora wszystkie połączył kończyny, uderza i rozczula nas myśl jedna, przewodnia — myśl dziejowego posłannictwa Słowiańszczyzny, która kiedyś ma zapanować światu.

Myśl ta ciągnie się nakształt nici czerwonéj przez cały ów olbrzymi i wspaniały sznur wypadków: ukazuje się w postaci Mene, Tekel, Fare śród uczty zniewieściałego Rzymu, towarzyszy wszelkim przewrotom, które wstrząsają ludzkością i lubuje się śród tkliwego i niewinnego religijnych Słowian obrzędu: na święto Kupały. Jakże piękny ten starosłowiański guślarz=gęślarz, jak go poeta nazywa, śpiewający przedziwną pieśń Kupały:

„Łado, Łado, o Kupało
Oby nam się dobrze działo,
Bohu, wszystkie bohy w niebie
Jako w tęczę patrzą w ciebie.

* * *

Szczodre na nas wielkie bogi
Dają co rok pokój błogi,
Matki płodne, dziewki hoże
Mleczne trzody, bujne zboże.
* * *
Stare-sta, kontyny, miasta
Słyną łaską Radogasta,
Nas Dziewanna kocha, żywi,
Żyjem szczęsni, bo poczciwi...."

Sielską i anielską prawie spokojność i swobodę ludu, który tak modlić się umie, zakłóca pochód lawinowy tych plemion, które gieniusz dziejów przeznaczył na panów ujarzmicielom świata, Rzymianom; wir wypadków i duch czasu przekształca ziemian w rycerzy...

Po wydaniu Ducha od stepu występuje Zaleski w nową fazę i epokę swéj działalności, a wstępując w nią schodzi zarazem z dotychczasowéj swéj drogi. Nieubłagana sądów boskich surowość, coraz cięższym smagająca nas biczem wyrobiła w narodzie zwątpienie. Słowacki charakteryzując naszą niegdyś boleść i poddanie się woli boskiéj śpiewał:

„Gdyśmy cierpieli mocno, wolaliśmy do góry
Jak gołębie, nie ciśnij."

Usposobienia młodéj Polski nie mógłby on już dzisiaj porównać do gołębiéj modlitwy, ale raczéj do posągu Nioby, która przez niebiosa ukarana, już się od niebios nic więcéj nie spodziewa.

Gdyby Zaleski posiedł był dalej swoim starym torem, byłby znalazł bezwątpienia na swojém wpływowém stanowisku zbawienne na tę chorobę narodu lekarstwo. Dawna modlitwa ukraińskiego słowika byłaby może zmieniła prąd i pożądany odniosła skutek, ale niestety i Bogdan już swéj słowiczéj modlitwy zapomniał. Popadł on bowiem właśnie w drugą ostateczność, i tu poeta rozpada z narodem. Podczas gdy naród wyrobił w sobie póżniéj charakterystyczny skeptycyzm, popadł ulubieniec jego w jakiś mistyczny, religijny zachwyt. Nie śpiewa on już dziś Polski, ale niebieską ojczyznę; nie ukraińskie rusałki zawodzą przed jego wyobraźnią rodzime tany i pląsy, ale chóry aniołów wyższego i niższego rzędu. Dawniéj bywało unosił się nad dziarską postacią Kozaka rozpierającego piersią szerokie powietrze stepowe, czarował opisem urodziwéj, czarnobrewéj mołodycy lub zatęsknił wspomnieniem o Sahajdacznym i Orliku; dziś unosząc się nad Wincentym a Paulo, śpiewa na téj saméj pobojańskiéj lutni:

Jakiś ty piękny, Wincenty!

i zanosi do niego prośbę — o wstawienie się za Polską.

Ten kierunek wybitnie występuje w najnowszym zbiorze poezyi Bogdana „Oratoryum wieszczém" gdzie mianowicie rozdział pod tytułem: „Wniebogłosy" ckliwością swoją odraża. Obok tego Oratoryum zawiera śliczne ustępy, żarzące się jak iskry w zastygłym na oko popiele. Mianowicie ustęp, w którym mówi o spełnieniu posłannictwa i wieszczéj swéj misyi, musiał mu w obec bezbarwnéj i wodnistéj sentymentalności jego obecnego stanowiska, z dawno w pamięci zamierzchłych stepów Ukrainy jakiś wiatr przynieść przyjazny, który zawiódł tchnieniem Bojana po zastygłych strunach lutni jego dziedzica:

I ja brzmiącą pieśń od młodu
Ogrywałem w jęk narodu
Zwiastujący boże dziwy,
Toż uczestnik chorowodu
Rozmodlony, to senliwy
Wtórowałem wielkiéj pieśni,
Którą bracia tu rowieśni
W świat ponieśli na podziwy.
Godyż, gody narodowe
Pośród pary tam książęce
Ruską nutą, polską mowę
Jak dwie siostry, dwie królowe
W onem gody wiódł pod ręce.

Ustępy podobne, z rzadka w dosyć sporym tomie pisane, przypominają czytelnikowi, że czyta utwory Bogdana, smutne iskierki tak świetnie niegdyś pałającego ogniska. To też odczytanie całego Oratoryum smutne i bardzo smutne sprawia wrażenie; zdradza bowiem już podeszły wiek autora. Wiek i tułactwo złamały kozaczego ducha, nie pragnie on żyć jeszcze, żyć, aby oglądać kraj wolny przed skonem, ale wzdycha do niebieskiéj ojczyzny.

Nie dziwmy mu się. Po tak uciążliwéj wędrówce polskiego tułacza — poety — wolno już opuścić ręce i wzdychać nareszcie do ciszy grobowéj. Któż pojmie całą skalę boleści, jaką przechodzi tułacz polski, tak jeszcze tkliwą jak Bogdan obdarzony duszą, i jakie to musiały być te troski, które tak wzniosłego przygnębiły ducha. Nie wolno nam, ciałem i duchem z ojczystą ziemią złączonym, z niéj i z codziennego bratnich twarzy widoku czerpiącym ożywcze pierwiastki i pokrzepienie na coraz nowsze zapasy, nie wolno nam w nieszczęściu samém szczęśliwym — osądzać bezwzględnie upadającego przy schyłku drogi tułacza, zwłaszcza gdy ten tułacz nosi miano Bogdana Zaleskiego.

Naród wszelako pragnąłby jeszcze raz posłyszeć staroukraiński głos poety, śpiew łabędzi; od kilkunastu lat żali się, skarży, że Bogdan już nie ten sam, niezrozumiały i ciemny, że zwinął skrzydła ukraińskiéj dumy, a unosi się na mistycznych wiosłach apokaliptycznego pegaza. Od „Oratoryum" Bogdan zamilkł, czy na zawsze — nie śmiem przypuścić; — wierzę, iż się w nim wyrabia nowa, zbawienna przemiana i że na schyłku pięknego swego życia zabrzmi nam znowu bojanową dumą i swojskiemi akordy i powróci na łono swych rusałek, pod ukraińskie niebo, na ukraińskie stepy. Że to nastąpi, tuszę niemylnie, bo nie inaczéj kończą wybrańcy narodu.

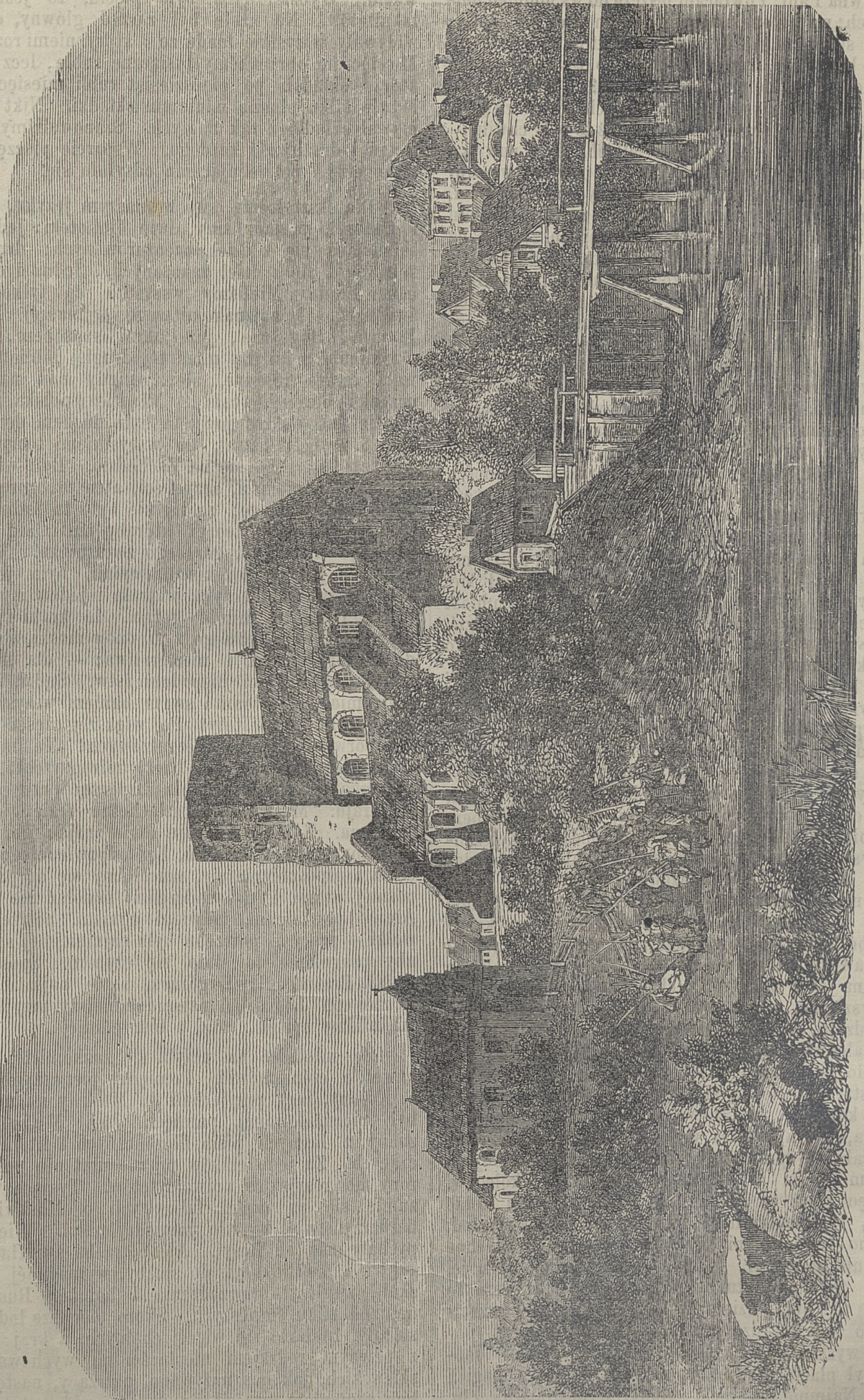
J. K.

Pyzdry.

(Z ryciną.)

Miasto to sięgające początkiem swym bardzo dawnych czasów, leży w pięknem położeniu, na wspaniałém wzgórzu, ponad rzeką Wartą. Rycina w niniejszym numerze zamieszczona, przedstawia nam poważne mury starożytnéj świątyni. Jest to kościół parafialny, o którym trudno powiedzieć, kiedy i przez kogo został zbudowany. Wszakże wątpliwości nie ulega, że już istnieć musiał w pierwszéj połowie XIII wieku, albowiem według Długosza wyświęconym w nim został w r. 1265 na biskupa poznańskiego Falanta, herbu Prus. Starożytny styl budowy okazaje równie, że w tym kształcie, w jakim do dziś pozostał, musiał być najpóźniéj w XVI wieku zbudowany. Gdy około r. 1762 mury jego zaczęły się rysować, przeniesiono nabożeństwo parafialne do kościoła ks. Franciszkanów i wyrestaurowano go kosztem mieszkańców Pyzdr. Atoli w wielkim pozarze r. 1807, który zniszczył większą połowę miasta, ucierpiał tak wiele, że porzucono zupełnie jego odnowienie i odtąd stoi w ruinie. Budowa jego jest gotyckiego stylu, z wysoką na czele gmachu wysuniętą wieżą, w całéj zaś swéj długości ma jednostajną szerokość i wysokości, co pomiędzy kościołami naszemi nader rzadko widzieć się zdarza. Po za kościołem parafialnym, poniżéj spadku ku rzece, jak to rycina okazuje, stoi stary kościół św. Ducha. Był on niegdyś pod zarządem księży kanoników lateraneńskich, zwanych u nas Bożogrobcami. Kościół ten stał już w XIII wieku, jak o tém przekonywa przywiléj Przemysława II z r. 1290. Pierwotny atoli został rychło zniszczony i rozebrany a na jego miejscu wzniesiono teraźniejszy r. 1749, który po opuszczeniu Bożogrobców skutkiem ich supresyi r. 1819, został zupełnie zamknięty.

K.



Pyzdry.

Urywki z wspomnień uniwersyteckich z r. 1846.

List IV.

Do Pani E.

Szanowna Pani! Powracam jeszcze do wspomnień uniwersyteckich; mają one dla mnie pewien urok świeżości; orzeźwiam się niemi, jak Arab źródłem, które przypadkiem spotka na bezludnéj pustyni. Dla czego to nigdy po raz drugi, podobne chwile przyjść nie mogą?... Dla tego też i tęsknię za niemi, wyciągam do nich ręce i rwę się całą duszą i całém sercem. Ale, bo też to były chwile — bez trosk wielkich — i bólów wielkich. Nie powrócą one, jak nie powróci młodość, jak nie powróci wczoraj przeżyte. Takiém życiem bez troski, życiem szerokiém, swobodném, życiem pracy i złotych nadziei, życiem najcudowniejszych ideałów, raz tylko jeden żyć można i to w wieku, w jakim wówczas byłem. Tyle miłości i braterstwa, ile wówczas doznałem, nie napotkam już nigdy! A jaka to rozmaitość była téj rzeszy polskiéj, po naukę do Moskwy przybyłéj! Z dzielnicy pod zaborem moskiewskim pozostającéj, nie brakło ani jednéj prowincyi, ani jednego niemal powiatu, któryby nie wysłał tu swego reprezentanta. A wszystko to żyło zgodnie, w miłości, po bratersku. Nie było żadnych różnic stanu, urodzenia, majątku — mundur i żądza nauki niwelowały te wszystk e szczby, które próżność ludzka stworzyła. Pomimo rozmaitych wybryków młodości, każdy z nas czuł, że przedstawia tu swą narodowość i swój kraj każdy więc postępował tak, by im najmniejszéj ujmy nie przyniósł. Powszechnie przyznawano nam zacne postępowanie i szlachetność, a byliśmy dumni z tego. Jeśli zaś ktokolwiek zapomniał się, a niestety, zdarzali się czasami i tacy, natychmiast wszyscy cicho starali się albo całą rzecz załagodzić, lub też winnego z uniwersytetu usunąć. Koleżeństwo było wielkie pomiędzy nami, większe jak gdziekolwiek. Nikt nie był właścicielem swych rzeczy, stanowiły one niejako wspólną własność. Na pięciuset studentów Polaków, przynajmniéj jedna trzecia nie miała żadnego utrzymania, nie miała złamanego szeląga — bez przyczynienia się kraju — bogatsi koledzy z własnéj kieszeni utrzymywali biedniejszych. Nikt na to nie sarkał, bo każdy czuł, że robi to dla Polski, i że tym sposobem przysposabia jéj dobrych synów i obrońców. Koleżeństwo to wszakże nie wyłączało sporów, ale sporów dalekich od osobistości i drobiazgów. Spory nasze obracały się na osi naukowéj i politycznéj; jedne i drugie nigdy nie zakłóciły ogólnéj harmonii. Owszem każdy spór był pożądany, bo przynosił jakiś pożytek... zbliżał nas ku prawdzie lub dawał ją samą. Nie chorowaliśmy wówczas na ową arkadyjską chęć powszechnéj zgody... Taka powszechna zgoda wydawała się nam zawsze pewnego rodzaju cmentarzyskiem; karty prawie były nie znane,—zaledwie kilku tę piękną sztukę uprawiało, a uprawiało ją cichaczem, wypierając się jéj przed kolegami i starannie o nią się kryjąc. Celem wspierania biednych kolegów, ustanowiona była najzupełniejsza organizacya, która weszła w życie w roku 1846. Poprzednio cała ta sprawa była dowolna, polegała jedynie na dobrém sercu i chętności niektórych kolegów. Chcąc więc rzecz tę zmienić na obowiązkową i nadać jéj pewną systematyczność i wprowadzić pewien ład, wygotowano odpowiedni projekt, który powszechne zatwierdzenie pozyskał. Z całą skromnością przyznaję, iż twórcą tego projektu byłem ja. Nie sądź wszakże Pani, by to było dzieło jakieś głębokie — przeciwnie, było ono bardzo prostém. Każdy student posiadający wystarczające zasoby na utrzymanie, obowiązany był płacić miesięczną składkę na rzecz ubogich kolegów. Najmnie sza ilość składki wynosiła dwa Złp. miesięcznie. Na każdym kursie byli poborcy, którzy obowiązani byli ściągać rzeczoną składkę i zarazem przedstawiać biednych swych kolegów do wsparcia. Kursowi ci, składali pieniądze i listę biednych wydziałowemu. Wydziałowych było pięciu, to jest tylu, ile fakultetów. Na czele był zarząd główny, do którego wpływały wszystkie fundu ze i który niemi rozporządzał. Miesięcznie obracaliśmy tysiączne ruble, lecz byli tacy, którzy składali po pięćdziesiąt rubli miesięcznie. Zaledwie kilku płaciło minimum składki. Nikt nie otrzymywał składki z rąk naszych. Szanowaliśmy wrodzony wstyd i drażliwość każdego. Wsparcie pieczętowało się w kopertę i potrzebującemu odsyłało się.

Dla kształcenia się w naszym języku, literaturze i historyi, posiadaliśmy dwie biblioteki; jednę jawną, składającą się z dzieł ocenzurowanych; drugą tajną, składającą się z dzieł zakazanych. Jedna i druga była nader liczna. Mieliśmy wszystko, co tylko było najświeższego i najznakomitszego w naszéj l teraturze. Policya, Bóg wie, już jakim sposobem, wiedziała o istnieniu pomiędzy nami téj drugiéj biblioteki; odbywała częste rewizye, ale... nigdy nas na gorącym uczynku nie schwytała... Młodzież polska w uniwersytecie, na wskroś przejęta była duchem demokratycznym... więcéj nawet, bo wszystkiemi teoryami, jakie wówczas szerzyły się na Zachodzie. Byli więc pomiędzy nami komuniści, socyaliści, ateusze, gorący wielbiciele Trentowskiego; zgoła, nie było tu żadnéj, choćby najoryginalniejszéj teoryi, któraby nie miała swego zapalonego wyznawcy, gorącego zwolennika. W téj rozmaitości jednak przekonań, opinii, była jedna rzecz, która wszystkich łączyła, wiązała i jedną myślą opasywała. Była to miłość gorąca do kraju i szlachetne pragnienie wydobycia go z szponów moskiewskich. Młodość jest ognista i niecierpliwa; — dla niéj nie ma ani przeszkód, ani niepodobieństw. Sądzi, że siły ma olbrzymie, i że niemi i swym ogniem wszystko przełamać potrafi. Niestety! Po większéj części kończy się na porwaniu sił prometeuszowych! Tą miłością dla kraju, powodowana młodzież uniwersytecka, trawiona gorączką czynu, zapragnęła rozpocząć pracę odbudowania kraju. Myśl to była szlachetna — ale... co prawda, śmieszna. Zdala od kraju i nie znając go, bo wyjechaliśmy ztamtąd dziećmi, bez odpowiedniego wykształcenia i usposobienia się, rzucaliśmy się do pracy, któréj później starsi i doświadczeńsi podołać nie m gliśmy! Ale — powtarzam, trawieni ogniem, potrzebowaliśmy walki — pracy... potrzeba było najmniejszéj sposobności, aby pragnienie to stało się czynem. Sposobność tę podał Erazm, głowa gorąca, serce najszlachetniejsze, a mój po dziś dzień najserdeczniejszy przyjaciel. Zawiązaliśmy spisek... ale, o tém później..

Że młodzież ta uczyła się znakomicie, to nie ma nawet o czém mówić. Pomiędzy pierwszymi Polakami z Korony, jacy przyjechali do Moskwy na uniwersytet, był nieodżałowanéj pamięci, Jan Majorkiewicz, znany z licznych pism filozoficznych i literatury dotyczących. Za jego czasów prawie nikt nie jeździł z Korony do rosyjskich uniwersytetów. Tysiące wieści, rozumie się po części fałszywych o Moskwie i o jéj barbarzyństwie, krążyło pomiędzy nami. Wieści te odpychały nas od Rosyi. Ale potrzeba światła — a potrzeba kwalifikacyi do służby, wymaganéj przez Moskali, zwalczyła uprzedzenia i bojaźń. Ruszyło więc naprzód kilku śmielszych. Skoro pierwsze lody złamane zostały, znalazło się więcéj chętnych, a kraj z początku z pewnym rodzajem nieufności na wychowańców moskiewskich, jak nas nazywano, patrzący, następnie z całém zaufaniem zwrócił się do nas, widząc żeśmy i naukę i wykształcenie naleźli i polskiego ducha wcale nie zatracili. I na uniwersytet, jak sami Moskale uznawali, pobyt w nim Polaków, wpłynął bardzo dobroczynnie.

W poprzednim liście opowiedziałem jaką to była młodzież moskiewska.

Nic więc dziwnego, że młodzież postępowała z nimi, jak z szubrawcami, a przemawiała do nich, przez: „Ty“ przywiléj podobnego przemawiania przywłaszczył sobie szczególniéj kurator, hrabia Strogonów. Otóż w takiém położeniu rzeczy zaczęli wstępować do uniwersytetu Polacy, a do liczby ich, jak wyżéj powiedziałem, należał Majorkiewicz. Wkrótce po przybyciu wypadł mu jakiś interes do kuratora, wskutek którego musiał się udać do niego. Jak tylko wszedł, kurator zaraz powitał go na wstępie pytaniem: czego chcesz? Majorkiewicz, przekonany, że pytanie w ten sposób wypowiedziane nie może się odnosić do ni go, zaczął się oglądać po za siebie; kurator zdziwiony tą ewolucyą, spostrzegł się i tym razem zapytał się: czego się Pan oglądasz? Przecież ja mówię do Pana? A! do mnie, sądziłem, że Wasze Siatelstwo przemawia do swego lokaja! Kurator nie obraził się tą dzielną odpowiedzią, ale owszem przeprosił grzecznie Majorkiewicza; a odtąd nie tylko do Polaków, ale i do Rosyan, zawsze przez Pan przemawiał. Ten Majorkiewicz, była to zacna, piękna, niesłychanie czysta postać. Jego to główn e staraniem postawiony został pomnik na grobie Wincentego Niemojewskiego, jednego z przywódzców kaliskiéj partyi podczas rewolucyi z roku 1830 schwytanego na samém wyjściu z Kongresówki do Prus i do Moskwy wywiezionego, gdzie umarł. Na nagrobku jego nie ma ani imienia, ani nazwiska, tylko napis z Pisma świętego: „I wiały wiatry i wyły burze i padały pioruny, a nie upadał dom ów, bo zbudowany był na opoce.“ Nie skończyłbym, gdybym chciał opisywać wszystkie prace i cały wpływ na młodzież uniwersytecką Majorkiewicza; powiem tylko, że jedna i druga biblioteka, o jakich wyżéj pisałem, były jego dziełem. Powróciwszy do kraju, również oddał się pracy — która zdrowie jego poderwała i podcięła życie na samym rozkwicie. Spoczywa na cmentarzu powązkowskim, pod prostym polnym kamieniem, na którym prócz imienia i nazwiska są te proste a cudownéj piękności słowa, tak dobrze przystające do całéj osoby Majorkiewicza. „A światłość wiekuista, którą tak ukochał, niechaj świeci na wieki wieków.“ Była to dusza niesłychanie religijna, wierząca jak dziecko, a wiarę tę, jak sam powtarzał, zaczerpnął z filozofii niemieckiéj, głównie z Szelinga, którego był wielkim zwolennikiem. O innych kolegach i dalszych szczegółach życia uniwersyteckiego w następnych listach.

Franciszek D.

Lelewel w Brukselli.

(Dalszy ciąg.)

Lelewel zachowywał równą niezależność względem rodaków jak względem cudzoziemców. Nie przyjmował żadnych przysług, w którychby najdrobniejszy cień dobrodziejstwa dał się dopatrzyć — okazywał się nawet czasami podejrzliwym i drobiazgowym w téj mierze.

Rodzina, przyjaciele, znajomi, współwyznawcy wiedząc o jego przerażająco-ubogim trybie życia, nie jednokrotnie usiłowali mu nieść ulgę.. najczęściéj napróżno.

Brat jego — także wychodziec, inżynier w Szwajcaryi, zapisał mu testamentem kilkanaście tysięcy franków; nie chciał przyjąć tego spadku i zrzekł się go na rzecz rodziny w kraju. Drugiemu jego bratu, obywatelowi z Królestwa, po wielu perswazyach, prośbach i zabiegach — ledwie się raz udało, że przyjął wreszcie od niego płaszcz watowany, który w zimie nosił.

Słynny z ostatniego powstania pułkownik Zygmunt Sierakowski, który męczeńską śmierć poniósł na Litwie, przejeżdżając w 1860 r. przez Brukselę i oczywiście odwiedziwszy przewodnika ludowéj Polski — chciał mu w delikatny sposób przyjść w pomoc. Zlecił jednemu księgarzowi w Brukselli, żeby nabył kilkadziesiąt egzemplarzy Jeografii średnich wieków za 500 fr., i upozorował kupno zamówieniem z Warszawy i z Petersburga dla rozmaitych zakładów naukowych w Polsce i w cesarstwie.

Zdziwiło nieco Lelewela znaczne takie zamówienie erudycyjnego dzieła — nie mogąc jednak odmówić księgarzowi, dołożył do Jeografii mnóstwo innych prac swoich i przyjął 500 fr. Sierakowski zabrawszy kilka egzemplarzy, zostawił resztę potężnéj paki u przyjaciół w Paryżu i w Liège. Doniosło się to przypadkiem do Lelewela: oburzył się jak gdyby na podstęp niegodny, nie mógł się długo uspokoić i polecił wszystkim znajomym, aby koniecznie wywiedzieli się o adresie Sierakowskiego, któremu chciał natychmiast 500 fr. odesłać.

Pan J. K. Żupański z Poznania, nakładał i wydawał — jak wiadomo — najważniejsze jego prace. Wydawnictwo to trzeba mu początać za prawdziwą zasługę, zwłaszcza też w owych czasach, gdy może jeszcze mniéj nabywano książek polskich naukowych, niż w obecnéj ciężkiéj chwili. Honoraryum, jakie ofiarowywał, przewyższało zawsze w trójnasób lub w dwójnasób żądanie Lelewela, który — mimo próśb i nalegań — nie chciał nigdy przyjąć więcéj, jak po sto talarów za tom.

Ślub taki na ubóstwo dobrowolne, znoszone z bohaterską wytrwałością, może w niejednych oczach zakrawać na przesadzoną skrupulatność albo na dziwactwo. Nie podobna jednak w XIX wieku, którego hasłem praca, przebieg i zarobek, w ludnéj przemysłowéj i nieco pończoszarskiéj Belgii — nie uszanować takiego nie pospolitego, zacnego dziwactwa. Przypuściwszy nawet, żeby Lelewel wiedząc, iż najsprytniejsi nasi nieprzyjaciele, pomawiając nas o najwsteczniejsze feodalne wyobrażenia, nie raz w błąd wprowadzając opinie ludów europejskich — chciał życiem swoim na wychodźtwie kłam zadać téj potwarzy — to przyznać mu należy, iż znamienicie spełnił posłannictwo, które dla niego nie było trudném. Skromny, prosty — miał on nie tylko wyrozumowane zasady i wyobrażenia, ale i skłonności proste a ludowe, które ze szlachetnego serca płynęły.

Ubóstwo w mieszkaniu jego świeciło nie raz tak wydatnie, jak stara suknia łatami i wytartemi łokciami.

Raz biednemu jednemu żydkowi, który wyemigrowawszy z Polski, przywędrował do Brukselli, poradzili Belgowie, żeby się udał o pomoc do pana profesora Lelewela, prezesa emigracyi polskiéj, jak go nazywali *)

Żydek zobaczywszy nagie ściany z festonami pajęczyny, nędzne sprzęty i starowinę w łatanéj bluzie, schylonego nad stosem starych szpargałów, zmięszał się, i wyjąkał, że chciał pana profesora-prezesie prosić o pomoc — widząc jednak, że pan profesor-prezesie takie biedne aż strach, prosi go, żeby przyjął od niego parę franków. Mówiąc to, wyjął z kieszeni dwufrankówkę i położywszy na oknie, chciał odejść.

Lelewel rozrzewnił się, naśmiał serdecznie — i obdarzył jak mógł najhojniéj poczciwego żydka.

Żałując sobie na najpierwsze potrzeby, gotów był zawsze podzielić się z biednym. Nazywano go też w Brukselli biedakiem bogatym dla biedaków (un pauvre riche pour les pauvres.) U antykwaryuszów zaś i na licytacyach książek wydziwić się nie mogli Belgowie jego namiętności do skupowania dawnych

*) Polacy dawali mu także często ten tytuł, sprawował bowiem na wychodźtwie we Francyi urząd prezesa komitetu narodowego, a następnie zjednoczenia, za co głównie pod naciskiem Pozzo di Borgo, ambasadora rosyjskiego, wydalono go z Francyi. W Brukselli zaś był honorowym prezesem belgijskiego Towarzystwa numizmatycznego.

dzieł i map — na które nieraz sporo wydawał pieniędzy, zwłaszcza też względnie do swojéj kasy i kostiumu.

W istocie uwiózłszy z bogatéj swojéj biblioteki w kraju zaledwie kilka rękopismów, zdołał podczas pobytu w Brukselli z oszczędności szczupłych honoraryów autorskich zgromadzić znakomitą bibliotekę, posiadającą mnóstwo rzadkości archeologicznych, historycznych, jeograficznych itd.

Biblioteka ta, którą wraz z umierającym Lelewelem p. Gałęzowski i Januszkiewicz wywieźli do Paryża, znajduje się obecnie w szkole polskiéj w Batignolles.

Zdumiewać się trzeba, przerażać gienialną działalnością i benedyktyńską pracowitością tego myśliciela erudyta, którego dzieł większych i mniejszych rozmiarów sto kilkadziesiąt napisów da się naliczyć, a który prócz tylu prac pomnikowych tyczących się naszych dziejów lub sprawy prócz numizmatyki i jeografii średnich wieków opracowanych w Brukselli, wydał jeszcze album rytownika polskiego i odrytował własną ręką 130 map, 80 tablic monet, odbić winietek ze starych ksiąg i rękopismów, kart i pomników jeograficznych. Chociaż nie był artystą, jak to sam wyznaje, z zadziwiającym jednak instynktem i trafnością artystyczną umiał uchwycić charakterystyczne rysy monet i medali — znawcy dotychczas zachwycają się nad niemi.

Znając kilkanaście języków starożytnych i nowożytnych, a umiejąc dojść do znaczenia zdań i napisów w kilkudziesięciu, przy opracowaniu jeografii średnich wieków uczył się zecerstwa u drukarza J. Dehou, mięszkającego dotychczas w Brukselli na ulicy Grande île, aby mógł sam składać trudne arabskie napisy. Do późnego nieraz wieczora pracował przy stole drukarskim ze szczególniejszém zamiłowaniem, a ze szczególniejszém niezadowolnieniem pani Dehou, która z flamandzką dokładnością myjąc codziennie schody — musiała mu zawsze przypominać, żeby wprzód obtarł starannie nogi, nim ośmieli się wejść lub zejść z wypranych pedantycznie stopni.

Pan Kamil Picqué — jeden z najznakomitszych numizmatyków belgijskich, konserwator medali w bibliotece królewskiéj, który zarówno z całym światem erudycyjnym czołem uderza przed powagą Lelewela w całéj dziedzinie nauk historycznych i uznaje że najtrafniejszém orzeczeniem olbrzymiéj jego wiedzy jest ów napis na ostatnim medalu z popiersiem jego: „inter eruditissimos orbis terrarum principi“ - szczyci się, że był jego uczniem, a raczéj, że go Lelewel pierwszy zachęcił do mozolnych numizmatycznych badań i kierował pierwszemi krokami młodego pacownika.

Poświęcił on wspomnieniu naszego wielkiego badacza cześć przejęty artykuł w kwartalniku brukselskim z 1862 (Revue Trimestrielle). W artykule rzeczonym prócz uwielbienia dla cnót i wiedzy oddaje nadto hołd niesłychanéj przystępności i szczodrobliwości naukowéj Lelewela, który przyjaciołom udzielał zawsze wszelkich objaśnień, miał na ich usługi wszystkie swoje książki, rękopisy, notatki itp. Jeśli mu zdarzyło się czasem z omyłki lub z zarozumiałego nieuctwa czyjego delikatnie zażartować, za to posiadał niewyczerpany zapas pobłażania dla niewiadomości i słabości ludzkiéj, nie pobłażania, graniczącego z apatyą lub obojętnością, ale tego, co szlachetne jeno serce i prawdziwie wyższy umysł odznacza.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Żebracy w Paryżu.

Pewien urzędnik powracając z biura do domu na obiad, miał zwyczaj dawać codziennie 2 sous jałmużny żebrakowi stojącemu na rogu dwóch stykających się ulic. Pewnego dnia przyszedłszy do domu, spostrzegł że sous przeznaczony żebrakowi, znajdował się w kiesce, podczas gdy podwójny luidor niebawem się z niéj ulotnił. Nie trudno było domyślić się przyczyny téj przemiany obudwu monet. Poczciwy urzędnik, mający dość liczną familią, a nie szczególniéj świetny majątek, licząc na uczciwość i wdzięczność żebraka, pobiegł natychmiast na miejsce, gdzie tenże zwykle stawał, ale już się spuźnił, bo żebrak odebrawszy zwykle ostatnią jałmużnę przedpołudniem od niego, pospieszył pokrzepić swoje osłabione siły. Urzędnik nie przestał na tem i wypytawszy się w narożnym sklepie, gdzieby żebrak mieszkał, udał się wprost do niego. Przyszedłszy do oznaczonego sobie domu, zadzwonił do drzwi, które mu wskazano.

— Kogo pan szukasz? — zapytał go uprzejmie lokaj otwierający drzwi na głos dzwonka.

— Przepraszam — odpowiedział urzędnik — powiedziano mi, że tu ma mieszkać pan V.

— Tak jest — rzekł lokaj, — czy pan życzysz sobie z nim mówić?

— Ale ja szukam — dodał urzędnik — pana V., który stoi za jałmużną na rogu...

— Proszę wnijść — rzekł na to lokaj, kłaniając się grzecznie, — tu właśnie mieszka.

Urzędnik postąpił kilka kroków, zapukał do wskazanych drzwi i otworzywszy je, spostrzegł ku nie małemu zadziwieniu pana V. na fotelu, przy stole, nalewającego sobie czerwone wino w kieliszek i zabiarającego się do apetycznie przyrządzonych szparagów.

— Pan darujesz — rzekł urzędnik z pewną lękliwością — zdaje mi się, że zaszła mała omyłka, czy nie dałem Panu przed chwilą podwójnego luidora zamiast sztuki dwóch sous.

— Tak jest dobry panie — rzekł p. V. — oto twój luidor, zwracam ci go.

Urzędnik odebrawszy luidor, przeprosił żebraka, którego codziennie wspierał i kłaniając się lekko, zwrócił się ku drzwiom, gdy żebrak zawołał za nim spokojnym głosem:

— Panie urzędniku tak się nie godzi, — należą mi się od pana za dzisiaj dwa sous.

Urzędnik sięgnął do kieski i złożywszy dwa sous na stole, przed niedopitą butelką wina wyszedł za drzwi, które przed nim otworzył lokaj pana V.

* * *

Wykopaliska jerozolimskie.

Najnowsze poszukiwania Anglików czynione na gruncie, na którym leży dzisiejsza Jerozolima, dowiodły, że gród ten spoczywa na mogile dawniejszéj, rzymskiéj Jerozolimy, tak, że miasto, które było świadkiem ukrzyżowanią Jezusa Chrystusa, o wiele głębiéj w ziemi było położonem. Dotychczas dokopano się pod ziemią w znacznéj głębokości około 60 budynków, zdumiewających częstokroć rozmiarów. Znalezione przedmioty wystawiono już w Londynie na widok publiczny.

Szarada.

Pierwsza nas znaczy, trzecią wy jesteście...
Pierwsze i drugie wolne na wsi, w mieście,
Bo o podatkach wcale nic nie wiedzą,
I jak zakute, często w duszy siedzą.
Drugie i trzecie w jesieni smakują,
Kiedy trzy wszystkie podstępnie czatują.

(Rozwiązanie szarady w nr. 30: ***Lisbona***.)

PUSZKA DO LISTOW.

Panu Teod. F. w Brukseli: Życzone numery prześlemy, gdy będzie cały artykuł wydrukowany. — Panu L. B. w Wrocławiu. Życzeniu Jego nie mogliśmy zadość uczynić, prosimy o obecny adres. — Panu W. S. w Krak. Prosimy o adres przed wyjazdem.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.